



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Prelekcje Publiczne. Dra Fil. H. Lewestama. — Krzyżowe drogi. Powieść składana w listach czterech autorów. — Wiersz. Przegląd literatury zagranicznej. — Doniesienie literackie — O ubiorach. — Rozmaitości.

PRELEKCJE PUBLICZNE

HENRYKA LEWESTAMA

Dra Filozofii, profesora Szkoły Głównej.

Prelekcja I.

(dnia 7 Marca 1869 roku).

Poczucie estetyczne, pociąg do piękna w sztuce i do samej sztuki, tak samo wrodzone są człowiekowi, jak poczucie prawdy, jak jego pociąg do wiedzy; i jeżeli słusznie powiedziano, że od zwierzęcia różni go przede wszystkim rozum i mowa, tedy niemniej słusznie możnaby dodać, że prawdziwie ludzka natura wszechstronnie rozwinięta ukaże się wtenczas dopiero, gdy ludzkiemu rozumowi i pojmowaniu towarzyszyć będzie upodobanie w objawach piękna, bądź to piękna przyrody, bądź dziejów człowieczeństwa, bądź sztuki. Gdyby się godziło w przedmiotach, dotyczących wyżyn naszego ducha, ustanowić niejaki stopniowanie, nietrudno może byłoby dowieść, że owo upodobanie w pięknie, więcej jeszcze niż popęd ku prawdzie, a jeżeli nie więcej, tedy przynajmniej bezpośrednio, świadczy o wiekuistym duchu bożym, którego iskra tli się w nas wszystkich; bo lubo w rezultacie i jedno i drugie do jednego dadzą się odnieść źródła, przecież poczucie piękna i to samo piękno, jego ideał, żyje w nas życiem intuicji, życiem niejako objawienia, — jest to dar, który, nam nieświadomie, Stwórca włożył raczył w głąb naszej duszy; — czujemy piękno tak samo, jak sprawy sobie zdać nie możemy, dlaczego oko nasze widzi, lub słyszy ucho; — czucie owo tak samo budzi w nas szereg uczuć i wyobrażeń, jak nie wiemy, dla czego i jakim sposobem widok przedmiotów, albo dźwięk tonów, wywołują w naszej duszy pojęcia i myśli.

Czémże jest to piękno? i na jakich szczegółowych oznakach zasadza się jego władza nad każdym umysłem należycie uorganizowanym? Odpowiedź na te pytania nie łatwa, bo dane, na których oprzećby można jako tako wyczerpujące ich rozwiązanie, rozproszone są w duszach pojedynczych ludzi, a każda z nich dochodzi do nich w sposób odmienny, lub odmiennie na nich wywiera działanie. Istnieje wprawdzie oddzielna nauka, Estetyka, której przedmiotem jest właśnie obszerna dziedzina piękna, ale pod wzglę-

dem natury jego, jego istoty, nie wypowiedziała ona jeszcze ostatniego słowa. Według jednych piękno jest po prostu tylko stosownością, odpowiedniością formy na wyrażenie jakiejś treści, ale występującą bez oddzielnego wyobrażenia celu, stosownością bez zamiaru, która nie budzi zajęcia samolubnego, a podobą się na mocy jedynie upodobania swobodnego i zupełnie bezinteresownego. Inni widzą piękno w tem wszystkim, co w swoim istnieniu zmysłowym, w rzeczywistości, odpowiada najzupełniej idei, idealności. Sztuka ma być szczytem tego piękna, bo jest najdoskonalszą i bezwzględną zgodą rzeczywistości z idealnością, w której dusza i ciało, treść i forma zewnętrzna, są jakby stworzone jednocześnie, jednym tchem: — ta treść i ta forma poprostu *scho- dzą się* w dziele sztuki. Jeszcze inni nakoniec uważają piękno, jako w ogóle *ideę* przedstawioną pod postacią zewnętrznego pojavu; najpierwszem więc istnieniem piękna jest piękno przyrody, piękno w przyrodzie i zarazem piękno w historii. To piękno przyrody bywa jednak znikome, przypadkowe, zmieszane z niepięknem, co pochodzi ztąd, że jest siebie nieświadome, bezwiedne; świadomem staje się ono dopiero w duchu, w fantazyi. Ale i ta fantazyja jest znowu z drugiej strony wyłącznie *wewnętrzna*, tak samo jak piękne przyrody było wyłącznie *zewnętrzne*; potrzeba jej zatem ucieleśnić się, potrzeba jej urzeczywistnić swoje utwory, a tem właśnie jej urzeczywistnieniem jest sztuka.

Dzieło sztuki, jeżeli je sobie wyobrażamy niezawisłe od swego twórcy, od fantazyi która mu dała początek, istnieje tak samo, jak piękne dzieło przyrody, t. j. bezwiednie i bezcelnie; ale to dzieło sztuki z tem wszystkim pochodzi z ducha i jest tylko ucieleśnieniem *ideału*, ucieleśnieniem oczyszczonym ze wszystkich domieszek nieokrzesanej natury. W takim pojmowaniu pojedyncze sztuki występują tedy, jako stopniowe wywijanie się ducha z materjalności. Sztuki kształtujące i figuryczne: Architektura, Rzeźba i Malarstwo, są to sztuki nieme, *massowe*, jeszcze przeważnie materjalne. Muzyka także żyje jeszcze w materjalności tonów, ale pomyślanej już idealnie; dopiero Poezja, działająca na polu czysto umysłowym, jest przejściem ducha do czystego myślenia.

Cheć dać poznać istotę Poezji, najwłaściwiej podobno użyję potocznego jednego sposobu mówienia, który, jakkolwiek nie posiada żadnej ścisłości naukowej, lepiej może wyjaśni naturę i potęgę jej działania na tłumy, aniżeli martwe i oschłe zazwyczaj określe-

nia. Otóż jeżeli, o którejkolwiek mówiąc sztuce pięknej, chcemy wyrazić najwyższe w niej uduchowienie, wzbicie się przedmiotu wysoko po nad świat materjalny, w eteryczną sferę fantazyi i ducha, powiadamy o niej, że artysta wlał w swój utwór istną poezję, że to dzieło poczęte i wytworzone poetycznie. Wyrażenie to każdy zrozumie od razu. Poezja w samej rzeczy łączy w sobie działanie sztuk kształtujących i Muzyki, — jest ostatecznym ich uzupełnieniem, ich zakończeniem i szczytem, — skupia więc w jednym objawie słowa i z szybkością jednemu tylko słowu właściwą cały świat uczuć i wyobrażeń, które w innych sztukach występują na jaw pojedynczo, dopiero kolejno jedne po drugich, skoro każde z nich, by się w sztuce urzeczywistnić, oddzielnego znów utworu sztuki wymaga. I dla tego to właśnie, że jedna Poezja mieści w sobie kwintessencję wszystkich razem sztuk pięknych, wszystkie zaś inne mają ściśle wytknięte pomiędzy sobą granice, ani Architektura, ani Rzeźba, ani Malarstwo nie zdołają odzwierciedlić się w Muzyce — boć owa nawet tak zwana Muzyka przyszłości, Muzyka „Tannhausera“ Wagnerowskiego, która niby i maluje, i rzeźbi i mówi, sama przez się jest tylko niedorzecznością ani nawzajem też Muzyki nikt się dopatrzeć nie potrafi np. w gmachu architektonicznym, w posągu, w obrazie; gdy tymczasem na nich wszystkich spoczywa wof bezcielesnego ideału, która jest wonią Poezji i gdy w tej ostatniej poznajemy wybitne cechy plastyki, barw i harmonii. Jako bowiem w architekcie, rzeźbiarzu, malarzu, muzyku, widzimy poetę, tak o poecie mówimy, że jego poemat to kościół gotycki, wystrzeliwający śmiałymi łukami ku wysokościom nieznanym, albo świątynia helleńska, nad którą wiecznie pogodnie unosi się niebo, co w połowie już do nas zstąpiło; — że jego utwór to grupa wyciosana z jednej bryły marmuru, w której każda postać *swój* życiem od tła odskakuje; — że to krajobraz, portret, kompozycja historyczna, gdzie kolory umiejętnie dobrane wewnętrznej fantazyi twórcy zewnętrznego dodają złudzenia; — że z każdego wiersza dźwięczy nam w ucho pełną nutą melodja, to smętna i rzewna, to potężna i dzielna, to groźna i dzika.

Na charakterze tych rozmaitych objawów piękna, których różne owe rodzaje sztuki mniej więcej wyłącznymi są reprezentantami, polega także charakter różnych rodzajów samej twórczości poetycznej. Wprawdzie i inne także sztuki piękne rozpadają się na mnogie poddziały: Malarstwo bywa krajobrazowe, rodza-

jowe, historyczne i tak podobnie, — Muzyka jest bohaterka, namiętna, wesoła i skoczna: ale te różnice w Malarstwie stanowi sam przedmiot, jaki sobie artysta obiera i od którego jest zatem najściślej zależny, skoro np. wypadek biblijny, albo scena wojenna, nie nadadzą się żadną miarą do obrazka rodzajowego lub do karykatury; w Muzyce znów, o ile mnie się przynajmniej wydaje, bo sam znawcą muzycznym nie jestem i dla tego zdanie to wypowiadam nieśmiało i z wszelkiem możliwym zastrzeżeniem, w Muzyce różnice owych rodzajów spoczywają na rytmie, skoro nóty te same, w innym tylko po sobie następstwie i w innych taktach iloczynowych, zupełnie odmienne wywołują wrażenia. W Poezyi przeciwnie, każdy z trzech głównych rodzajów: epopeja, liryka, dramat, stanowią działy samoistne, ściśle odgraniczone, chyba że sam poeta własnowolnie tworzy gatunki pomiędzy nimi przejściowe, — a charakter trzech tych rodzajów, jak już napomknąłem, odpowiada charakterom celniejszych innych sztuk pięknych, mianowicie zaś: epos malarstwu, — liryczność sztuce tonów, — dramat sztukom plastycznym.

Właściwie mówiąc, cała Poezya jest plastyką wnętrza ludzkiego i przedstawia charaktery w kształtach wypukle dotykalnych; — ale gdy epopeja i nowoczesna jej forma, romans i powieść, malują wypadek zewnętrzny i wpływy świata zewnętrznego na duszę człowieka, gdy zatem bohater eposu zawsze bywa charakterem wrażliwym, czyli — że użyję technicznego wyrażenia estetycznego — czysto żeńskim czy biernym gdy liryka wprost jest subiektywną, wewnętrzną, a człowiek wstępuje w niej bezpośrednio w najgłębsze tajniki swojej istoty, której odślania uczucia i doznane wrażenia, wszystkie utajone sprężyny swoich myśli i czynów; dramat przedstawia go działającym, przedstawia go w bezwzględnej walce ze światem zewnętrznym, bo ten człowiek czynny, dążący do spełnienia swych celów, wchodzi w kolizję i sprzeczność z innymi, którzy również do celu swojego zmierzają. Ta walka i w tej walce zwycięstwo lub klęska, oto punkt środkowy całej akcji dramatycznej. Zewnętrznie rzeczy biorąc, dramatem wprawdzie będzie każdy utwór, w którym występujące osoby rozmawiają pomiędzy sobą, a poeta nigdy w *swojem* imieniu nie przemawia; będzie to jednak tylko określenie formy zewnętrznej dramatu; która oczywiście zawsze być musi formą dialogu; lecz jeżeli osoby owe wyrażają swoje uczucia i myśli bez wywierania wzajemnego na siebie wpływu, bez oddziaływania jednych na drugie, i jeżeli przy końcu w tym samym zostawiają być stanie duszy co na początku, rozmowa ich, niechby z kąd inąd najwytworniej poetyczna, nie obudzi bez wątpienia żadnego zajęcia dramatycznego.

To nam tłumaczy urok potężny, przywiązany do tego rodzaju Poezji. Działanie, akcja, oto prawdziwa rozkosz życia, albo raczej ona sama jest życiem. Przyjemności czysto bierne mogą nas słodko ukołysać, mogą nas miękko utulić w jakimś śnie duszy, który bez zaprzeczenia nie jest również pozbawionym pewnego rodzaju rozkoszy, — ale jak tylko człowiek nie doznaje przytem wewnętrznych wstrząśnień i wzruszeń, stanie się wnet ofiarą znużenia i nudy. Ogół ludzi, przynajmniej znaczna ich większość, bądź dla tego, iż takie jest ich położenie, bądź że do wielkich wysiłen nie są zdolni, żyje w kole jednostajnym i monotonnym drobnych i mało znaczących zajęć. Dni ich życia następują po sobie do siebie podobne, bożyszczem ich nawyknięcie, i zaledwie to mają poczucie, że żyją. Niegdyś wprawdzie, namiętności młodzieńcze miotają niemi, jak fale bystrego potoku, ale gdy namiętności się uciszyły, pozostało tylko wegetowanie bez ruchu; pod wpływem więc tajonego niezadowolenia, chciałby wyrwać się z niego i probują różnych środków rozrywki, wymagających zwalczania pewnych drobnych trudności i mających zbudzić ich zdolności uspięne. Otóż żadna z takich rozrywek porównać się nie da z urokiem poematu dramatycznego. Nie mogąc własnymi naszymi czynami żadnego wywierać wpływu, z zajęciem przynajmniej spoglądamy na czyny drugich. Przedmiotem najgodniejszym uwagi i zastanowienia człowieka, jest bez wątpienia sam człowiek, a tu na scenie widzimy ludzi, przyja-

ciół i nieprzyjaciół, którzy się mierzą pomiędzy sobą; — widzimy istoty obdarzone rozumem i uczuciem, które zobopólnie na siebie działają, bądź za pośrednictwem swoich przekonań, bądź charakterów, bądź namiętności, i które w naszych oczach nadają nowe kierunki swym stosunkom późniejszym. A sztuka poety dramatycznego na tem polega, żeby usunąć akcesorya z akcją nie powiązane, owe szczegóły tysiączne a drobne, owe bezpotrzebne przeszkody, które w rzeczywistości tamują bieg wielkich wypadków, i żeby w jednym ognisku skupić całą uwagę i ciekawość. Tym sposobem dramatyk przedstawia nam ujętą obraz życia, szereg nieprzerwany najwięcej wzruszających i najbardziej stanowczych momentów ludzkich kolei.

Tem, co dotąd powiedziałem, chciałem dać poznać wielką ważność moralną przedmiotu, który nas w obecnym wykładzie zajmuje. Jeżeli wszystkie w ogóle sztuki piękne godne są zatrudnić myśl ludzką, — jeżeli pomiędzy niemi Poezya unosi ją na najwyższe szczyble duchowe, — tedy najszczytniejszy w tej Poezyi rodzaj, dramatyczny, kojarzący znowu plastykę ducha z objawami piękna w kształtach, barwach i tonach, przed innemi godzien ściągnąć na siebie naszą uwagę. Na czele tego świętego orszaku boskich siostrzy, deklamacja, wydatniająca myśli najgłębsze lub najwznioślejsze działa na nas dwoistym czarem wymowy i ruchomych obrazów; Architektura ozdabia wspaiałe wnętrza poświęconego mu gmachu; Malarstwo udziela mu swych złudzeń perspektywicznych; Muzyka wspiera Poezyę całą potęgą swoich akkordów. Słowem, w tem czarodziejskim gronie wszystkich sztuk pięknych, patrzymy na rozwijający się przed naszymi oczyma rzeczywisty stan moralny i społeczny narodu, na wypadki jego usiłowań całkowitokowych. Możeż nas tedy zadziwić, że przedstawienia dramatyczne tak szczególny posiadają urok dla ludzi wszystkich wieków, wszystkich klas towarzyskich i wszystkich zawodów? Mąż stanu i wojownik widzą tu wielkie zdarzenia ubiegłych stuleci, podobne do tych, jakimi sami może w tej chwili kierują, odślaniające przed niemi najskrytsze swoje przyczyny, najgłębsze pobudki osób w nich działających. Filozof odkrywa tu zarodki nowych myśli o naturze i przeznaczeniu człowieka. Artysta śledzi okiem badawczym za temi nikłemi gruppami, które wraza w swą pamięć jako przedmioty, mające się później kiedyś odtworzyć. Młodość, chciała wrażeń, otwiera serce na najwznioślejsze uczucia; starość odmładza się wspomnieniami; Dziecię nawet pogląda z przecuciem nadziei na tę różnobarwną zasłonę, która za podniesieniem się ma mu odchylić cuda nieznanne. Każdy znajduje tu, czem pokrzepić swe siły, co mu powraca pogodę umysłu; każdy, choćby na krótkie tylko chwile, zrzuca z siebie troski tego żywota i przenosi się w świat całkiem inny.

Ale pielęgnować ją potrzeba, tę sztukę, — pielęgnować wszystkimi siłami duszy, — bo Poezya dramatyczna i sztuki z nią połączone, miasto uszlachetniać, mogłyby w razie zniechęcenia lub wzajemnego zaniechania się poetów, aktorów i widzów, w taki popaść stan poniżenia, że teatr stałby się wówczas najpospolitszym, najobrzydliwszym, najzgnubniejszym nawet sposobem przepędzania, albo raczej marnowania drogiego czasu. Pielęgnować ją trzeba, bo — to święte Palladium *twórczości poetycznej*, Palladium *języka*, który w żywym jej słowie znajduje organ, zastępujący mównice i rozprawy publiczne, — który w niej żyje w całej czystości, przekazanej nam w puściźnie od wieków. Biada jej, biada nam i tym co koło tej sztuki pracują, gdyby z ich winy być miało inaczej!

Tyle o doniosłości przedmiotu, któremu zawdzięczam zaszczyt tego szanownego i świętego zebrań. Teraz zwrócimy się na chwilę do dwóch gatunków sobie przeciwnych: do tragicznego i komicznego, stanowiących główne poddziały Poezji dramatycznej. Chcąc je określić w sposób najprościej i najrozumialszy, dosyć podobno byłoby powiedzieć, że odpowiadają dwóm usposobieniom naszej duszy: poważnemu i wesołemu. Każdy z własnego doświad-

czenia zna dwa te kierunki, ale ktoby chciał dotrzeć do ich istoty i początku, nie obszedłby się bez głębokich badań filozoficznych. Wielotomowe już dzieła o nich spisano; co do mnie, w tem miejscu ograniczę się na napomknieniu, że i jeden i drugi nacechowany jest zbiorową całością naszej ludzkiej natury, ale że kierunek poważny należy raczej do wrażeń moralnych, wesoły do tych, które otrzymujemy przez zmysły. Usposobienie poważne w najobszerniejszym znaczeniu jest skierowaniem władz duszy do jakiegobądź celu; wszakże jak skoro tylko zdajemy sobie sprawę z naszych czynności, rozsądek każe nam odnieść cel ten do innego, wyższego, i tak coraz wyżej i wyżej, aż dojdziemy nareszcie do pierwszego i ogólnego celu naszego istnienia. Pociąg do nieskończoności, spoczywający na dnie naszej duszy, łamie się wówczas o granice skończone, które nas zawsze wódczas o granice skończone, które nas zawsze wódczas kępują, — a w obec rozmyślenia nad życiem ginie samego życia urok. Wszystko cośmy zdziałali wydaje się marne i nikłe, — wszędzie śmierć wygląda z za węgła, a każda chwila, czy złe, czy dobrze użyta, zbliża nas do niej bezpowrotnie. W najszcześniejszych nawet okolicznościach, gdy człowiek osiągnie w spokoju naturalnego kresu swoich przeznaczeń widzi on zawsze przed sobą tę konieczność niezbitą: — że albo sam opuści to, co ma najdroższego, albo przez nie zostanie opuszczonym. Nie masz węzła miłości bez rozstania, — nie masz rozkoszy bez żalu. Jeżeli jednym rzutem oka i aż do ostatecznej możliwości krańców obejmujemy wszystkie rozmaite fazy naszego istnienia, — jeśli rozważymy, że istnienie to zależne jest od niedojrzanego powiązania przyczyn i skutków, — jeśli pomyślimy, jak słabi i bezbronni, wyrzuceni zostaliśmy na wybrzeża nieznanego nam świata, gdzieśmy — że tak powiem — rodząc się już doznali rozbicia, — jak narażeni jesteśmy na wszystkie błędy, na wszystkie zgubne złudzenia, — jak wzburzone nasze namiętności są śmiertelnymi wrogami, których piastujęm w naszym łonie, — jak w imieniu najświętszych obowiązków każda chwila może od nas żądać ofiary najdroższych naszych skłonności, i od razu pozbawić nas tego, cośmy z największym trudem zdobyli, — jak przy każdym wzroście naszego szczęścia, rośnie także niebezpieczeństwo strat boleśniejszych i obawa ściągania na siebie pomsty nieprzyjawnego losu; — jeżeli — mówię — zajrzemy w te straszne i konieczne warunki naszego bytu, czyż jest tak nieczułe serce na świecie, coby wówczas nie było ogarnięte niewymownym jakimś smętkiem, od którego nie masz innej ucieczki, krom głębokiego przeświadczenia o powołaniu wyższem nad to ziemskie przeznaczenie? Otóż to właśnie usposobienie, na wpół ponurą melancholię, na wpół zapał pełen wzniosłości, nazwałby można usposobieniem tragicznym. A kiedy umysł, wyrwawszy się z objęcia takich rozpamiętywań, wraca nagle w dziedzinę rzeczywistości i życia, — kiedy przejmie się wielkim faktem historycznym, uderzającym jakim przykładem śmieszności ludzkich kolei, — kiedy wskrzesi z grobu tych bohaterów, którzy przez swą stałość odnieśli zwycięstwo nad losem, albo którzy chwalebnie legli pod jego ciosami, — wówczas już staje przed nami sama tragedia. To już posłużyć może za wskazówkę, jak dalece ona oparta jest na własnej naszej naturze, dla czego podobamy sobie w okropnych jej scenach, — i jakie w niej znajdujemy podniesienie ducha lub słodką pociechę. To zarazem tłumaczy, dla czego w piśmie i w mowie tak wytrwale wszędzie i zawsze byliśmy i jesteśmy gorącymi przeciwnikami realizmu w dramacie, owego realizmu który szuka piękna w potoczności powszedniej. Ów stan duszy bowiem, który zwiemy tragicznym, nie da się *uniknąć* przez ludzi obdarzonych głębokim uczuciem, a Poezya, nie mogąca w nich stłumić dyssonansów wewnętrznych, stara się przynajmniej ratować ich urokiem idealnej harmonii.

Równie jak usposobienie *poważne*, ożywione natchnieniem poetycznym, stanowi istotę *tragedyi*, istota *komedyi* polega na *wesołości*. Usposobienie wesołe jest rodzajem zapomnienia życia, jest to stan duszy w którym zostając pod wrażeniem obecnego przyjemnego uczucia, na wszystko zapatrujemy się ze stanowiska igraszki, a cały świat zewnętrzny objaja się tylko z lekka o samą powierzchnię naszego serca.

Ułomności ludzi i ich nieporozumienia nie są wtedy już dla nas przedmiotami nagany lub żalu; — widzimy w nich tylko dziwaczne sprzeczności, które rozbudzają nasz umysł i ożywiają nam wyobraźnię. Poeta komiczny starannie więc usuwa to wszystko, co przeciw jego postaciom wywołac zdoła *oburzenie* moralne, lub też prawdziwe z ich położeniem *współczucie*, — gdyż oba te wrażenia spowodowałyby tylko poważne usposobienie. Wady ludzkie i ich nielogiczność przedstawia on jako naturalne wyniki wpływów zmysłowych, a przygody ich jako zabawne igraszki trafu, których następstwa w żadnym razie nie mogą być zgubne.

Taką jest istota tego rodzaju dramatycznego, który nazywamy komedią, — a jakkolwiek w obecnym szeregu moich odczytów o arcydziełach dramatycznej poezji zajmować nas będzie prawie wyłącznie tragedia, przecież w ogólnym tym wstępie do całego przedmiotu nie mogłem wzmianki i o tamtej pominąć, już to by tej całości nie przedstawiać obrazu poławicznego, już też, że pomiędzy innowacjami tak obrzyliśmy i tak niezliczonymi, jakie epoka nowożytna wywołała w życiu i w sztuce, niepoślednie miejsce zajmuje ta jedna, że, równie jak w rzeczywistości żart i powaga, rzeczy potoczne i wzniosłe, częstokroć w najbliższym obok siebie pozostają sąsiedztwie, tak i w dramacie, tym mikrokozmosie świata ludzkiego, pathos odbija się silnym uderzeniem o komizm i znachodzi w nim potężną nad sobą samą ironię. Nie jedyną to zresztą powód połączenia obu rodzajów w nowożytnej tragedii: mieszając je z sobą, poeta ma zarazem na celu uczynić zadosyć władzom naszej duszy *mięcej* wzniosłym, zrównoważyć wszelką przesadę, i nie dać nas ogarnąć owemu znużeniu, jakie budzi pozbawione urozmaicenia następstwo namiętności i grozy.

(d. n.)

KRZYŻOWE DROGI

POWIEŚĆ

składana w listach czterech autorów.

Pani Girardin	Irena de Chateaudun
Teofil Gautier	Edgar de Meilhan
Juliusz Sandeau	Rajmund de Villiers
Méry	Roger de Monbert.

(Dalszy ciąg).

LIST XXV.

RAJMUND DE VILLIERS DO WICE-HRA. DE BRAIMES.

w Grenoble.

Rouen 12 Lipca 18...

Pani!

Jeżeli w tych słowach, na prędce kreślonych do pani znajdzie się jakie wyrażenie zbyt ostre, które cię zrani, niech mnie tłumaczy to, żem się zajął szczerze sprawą osoby, poleconej mi przez Panią. Rzecz jest ważna, i jeżeli się przedłuży, komedia grana na korzyść nie wiem jakiej próżności, może mieć rozwiązanie dramatyczne, a nawet i tragiczne. Niechże panna de Chateaudun, dowie się jak najprędzej, że tu idzie o jej spokój i przyszłość. Na użycie mego wpływu, nie masz pani do stracenia, ani jednego dnia, ani jednej nawet chwili. Nie odpowiadam za skutki, spiesz się pani! Położenie, rozum, wysoki rozsądek, nadają pani względem panny de Chateaudun prawa starszej siostry lub matki; użyj ich więc dla naprawienia jej nierozwagi.

Jeżeli to jest fantazja nie jej nie usprawiedliwia; jeżeli igraszka, jest okrutna, jeżeli próba, trwa za długo. Udałem się za panem de Monbert de Rouen; jestem z nim ciągle razem, mam na niego zwróconą uwagę: jest dobrze zraniony. Nie miałem nigdy zaszczytu spotkania się z panią de Chateaudun, nie mogę zatem osądzić czy książka jest dla niej partją

stosowną. W tej ważnej sprawie sama Panna de Chateaudun, może być sędzią. Dodam to tylko, że książka nie jest osobą, z jakiej by można żartować bezkarnie, a zatem jakikolwiek ma być wyrok wydany przez pannę de Chateaudun to obowiązek i godność nie pozwalają odwołać go dłużej.

Jeżeli ma karać niech karze, ale niech nie będzie okrutniejszą od karta, który nie pastwi się długo nad swą ofiarą. Choćby pan de Monbert, nie był człowiekiem szlachetnym w całym znaczeniu tego wyrazu, to jeszcze miał by prawo do wszelkich względów, jeżeli boleść szczerą jest godną litości, a miłość prawdziwa szacunku.

Niech się nie myli, nie jest to jedna z owych łatwych miłości, zrodzonych w atmosferze paryzkiego świata, które jak się pojawiają tak i giną, bez walki i cierpienia: jest to uczucie energiczne i głębokie, które może być zgubnym w razie potrzeby. Na pozór może to być śmiesznym, że książka w przeddzień zaślubienia, młodej i pięknej dziewczynki, traci ją wraz z milionami, ale zobaczywszy zbliżać bohatera, tej zabawnej awanturki, postać rzeczy zmienia się; uśmiech błędnie i znika, zabawka staje się okrutną, szaleństwo pięknego zbiega przybiera rozmiary dramatyczne. Pan Monbert nie jest takim, jak go sądzą ogólnie, jak i ja go sądziłem, przed spotkaniem po dziesięcioletnim niewidzeniu. Krew jego rozpalła się przy słońcu stref gorących; przybrał w części obyczaje i namiętności dalekich ludów, jakie zwiedzał; wszystko to wprawdzie jest pokryte polorem elegancji światowej, widząc go zawsze przystępnym i uprzejmym, trudno się domyśleć co wrze w jego sercu. Jest on podobny do owych studni Indyjskich o jakich opowiadał mi dziś rano. Otoczone są w koło kwiatami i zielonością; wejdź w głąb, a wyjdiesz blady i strachem przejęty. Powiadam ci pani, że człowiek ten, cierpi, o ile tylko na tej ziemi cierpieć można; widzę jego rozpacz: przeraża mnie ona. To nie tylko miłość i duma zraniona, ale ciągłe wyrzuty własnych przewinień względem panny de Chateaudun, z których chce się usprawiedliwić. Niechże go potępią, ale niech w pierw osądzą. Widziałem go, jak załamywał ręce, jak jęczał z bólu i wściekłości. Spokój jego jest więcej przerażający; milczenie jest burzliwsze jak morski uragan. Wczoraj wrócił do domu, zmęczony i zniechęcony, całodziennymi próżnymi poszukiwaniami, wziął moją rękę i poniósł ją do swych oczu. Patrz, powiedział nie płakałem nigdy. Ręka moja zwilgotniała. Jeżeli pani kochasz pannę de Chateaudun, jeżeli ci idzie o jej szczęście, jeżeli jej cierpienia są twojemi, donieś jej o tem wszystkim jak najprędzej, i to bez ogródek, z całą szczerością prawdy: czas nagli. Idzie tu głównie o uprzedzenie mogącego nastąpić nieszczęścia. Z miłości do nienawiści, jest jeden tylko krok: nienawiść szukająca zemsty, jest jeszcze miłością. Powiedz temu dziecku, że igra z piorunem; powiedz jej że piorun może uderzyć w jej głowę. Jeżeli panna de Chateaudun tłumaczy się jakim innym uczuciem, jeżeli zła ma wiarę, by ją oddać drugiemu, to nieszczęście, straszne nieszczęście grozi jej! Pan de Monbert, ma rzut oka pewny, rękę wprawną: załoba nastąpi wkrótce, po uroczystości weselną. Panna de Chateaudun zajmując się strojem oblubienicy może przygotowywać razem strój wdowi. Otóż i wszystko co miałem pani donieść.

W poprzednim liście pisałem pani o sobie, pisałem o moim szczęściu, a dziś już niema o czem mówić. Nadzieje zniszczone, stracone, szczęście znikło, w samej chwili pojawienia się. W ostatnich dniach pobytu w Richeport, zacząłem spostrzegać jakąś cichą tajemną niechęć, między mną a panem de Meilhan, co wszystko zostało mi wyjaśnionem listem pana de Monbert, w którym mi dał do zrozumienia, że jednego z nas nadto, pod tym dachem. Jakże jestem nierozważnym, żem sam tego nie odgadł. Czyż młody poeta, mógłby żyć bezkarnie, przy tylu wdziękach i piękności? Sądziłem nieszczęsny, że ona jest piękną tylko dla mnie, że moje tylko oczy nią się zachwycają, serce uwielbia i rozumie. A więc tak, tak myślałem, nie zdawałem sobie z tego sprawy, zdawało mi się że ona zjawiła się dla mnie samego, że nie istniała przed spot-

kaniem ze mną, że żadne spojrzenie przed moim, nie spoczęło na niej, żem ją utworzył ogniem mych marzeń. A dziś chociaż jesteśmy rozłączeni na zawsze, wierzę w to że: jeżeli jest dwie istoty stworzone, jedna dla drugiej, my oboje jesteśmy niemi, a dusze nasze są siostrami. Pan de Meilhan kocha ją: któżby jej nie kochał? Ale on ukochał piękność zewnętrzną, kształty szyi i ramion, doskonałość konturu. Miłość jego nie wytrzymałaby rzutu pędzla niszczącego choćby jedno zagięcie tej całości. Taką, jaką jest, zdradziłby dla pierwszego płótna, pierwszego marmuru spotkanego na swój drodze. Zaludnił już jej rywalkami galerje Luwru; zapełni niemi, wszystkie muzea świata. Edgar ma w sercu, jedną tylko miłość prawdziwą i głęboką: miłość sztuki, która pochłania wszystkie inne. Piękna okolica zachwyca go tylko dlatego, że mu przypomina pejzaż Rujsdaela lub Pawła Huetta, nie znam tak pięknego modelu, nad które nie przełożyłby portretu z podpisem Ingres, lub Scheffera. Kocha tę kobietę jak artysta; jest ona rozkoszą tylko jego wzroku, a mogłaby być rozkoszą mój całej istoty. A potem, Edgar, niema wcale przymiotów składających żywioł życia społecznego. Jest to natura fantastyczna, przeciwna wszelkim względem światowym. Rozum jego jest zawsze uzbrojony, zawsze gotów, zadać gwałt sercu; w pośród najszczerzych natchnień przebija zawsze szyderstwo, z romansu Donzuana. Nie, tu niema szczęścia dla mój Ludwika, tak długo szukaną, oczekiwaną i znalezioną: niestety! ale straconą bezpowrotnie. Ludwika budzi się jeżeli sądzi przeciwnie. Ale ona widzi pewno prawdę. Co jest najokropniejszego, w tem rozłączeniu, to to, że ono niszczy dwa przeznaczenia, połączone w ciechości. Płacząc, nie płaczę nad sobą tylko, ale i nad nią. Spotkawszy się, mam przekonanie, żeśmy się wzajemnie poznali. Ona zawołała: To on! a ja, krzyknęłam, to ona! Kiedym poszedł, pożegnać ją, pożegnać na wieki, na zawsze. zastałem ją, smutną, bladą i zgnębiającą; widziałem łzy płynące po twarzy. Kocha mnie, wiem o tem, czuję to, a jednakże musiałem odjechać! Płakała, a ja milczałem! Jedno słowo, jedno tylko, a niebo otworzyłoby się dla przyjęcia nas, ale słowa tego wymówić nie mogłem! Żegnaj cię więc słodka śnie! A ciebie przeklinam okrutny i niedorzeczny honorze, choć dla ciebie się poświęcam. O! nie myśl pani, żem się pogodził z mojem przeznaczeniem, że duma zapełni przepaść, w jaką się dobrowolnie rzuciłem. Nie sądzę że w własnym zadowoleniu znajdę nagrodę poświęcenia. Są chwile w których się oburzam i buntuję na swoją głupotę. Po cóż było odjeżdżać?

Cóż mnie obchodzi Edgar?

Co mnie do jego miłości. Kochałem, czułem się kochanym; coż mnie wreszcie wszystko inne obchodziło?

Za całą więc nagrodę tego poświęcenia, mam poczucie własnej pogardy dla tak podłej cnoty, i policzkuje się ciągle słowami Pascala: „Człowiek nie jest ani aniołem, ani zwierzęciem a na nieszczęście, ten co chce udawać anioła, udaje właśnie zwierzę“. Uspokój się biedne serce! Całą pociechą dla ciebie jest to że nie powiedzą, iż następcą dzielnych rycerzy, wszedł pod dach gościnnego przyjaciela, by mu ukraść szczęście. Jestem smutny pani! Wesoły promień rozjaśnił na chwilę tylko noc, w jaką znów zapadłem. Jestem smutny aż do śmierci. Cóż się ze mną stanie? gdzie me dni powlekę? Nic nie wiem. Wszystko mi ciąży i nudzi, a raczej, wszystko mi jest obojętnym. Myślę podróżować. Gdziekolwiek będę, ty pani jako pocieszycielka będziesz ze mną zawsze. O! gdybym mógł się pocieszyć. Chciałem przyjechać do was by ukoić mą duszę, ale boleść moja jest mi drogą, nie chce się z nią wyleczyć. Ściskam ręce pana de Braimes, a wszystkie wasze dzieci łączę jednym uściskiem w mem sercu.

Rajmund de Villiers.

LIST XXVI.

DO KSIĘCIA DE MONBERT.

poste restante w Rouen.

Richeport 21 Lipca 18...

Jestem odurzony! szaleję z gniewu i rozpacz! Ta Ludwika! nie wiem co mnie wstrzymuje od podpalenia domu, w jakim się ukrywa: muszę wyjechać bo gotów jestem dopuścić się zbrodni! Pisałem list, za listem, byłem u niej, z jakie dwadzieścia razy, a wszystko to bez żadnego skutku. W głowę zachodzę co to wszystko znaczy? Kokietka i skromnista! Straszne zestawienie, potworność za nadto pospolita niestety! Niechce mnie widzieć! wszystko skończono, nic nie może zwalczyć tego niedorzecznego uporu, który ona uważa za cnotę. Gdybym choć raz jeden mógł z nią pomówić, powiedziałbym jej... nie wiem już co, ale znalazłbym sposób prześlągnięcia. Opiera się, bo wie że ją zwalczę, słuszność po mój stronie, bo ją kocham szalenie.

Uczucie jest wymownem. Ucieka odemnie; o zdrado! o podłości! nie śmieć spojrzeć w oczy nieszczęściu, jakie się wywołało!

Jadę do Ameryki zabić cierpienie moralne, zmęczeniu fizycznym. Zapomnę o duszy myśląc o ciele. Będę przepływał olbrzymie i bystre rzeki, wspinał się po najwyższych górach, zwiedzał lasy, gdzie dotąd stopa ludzka nie powstała, a jeżeli wspomnienie Ludwika nie zatrzyma się w mojej pamięci, zatrzymam konia w dzikiej pustyni czekając pożaru. Zaprowadzę moją miłość tak daleko, że mnie w końcu porzuci.

Czuje, że życie moje, jest na zawsze osamotnione! Nie mogę żyć na tym samym świecie co Ludwika, a żyć bez niej! Może w tym świecie nowym, znajdę pociechę na mój smutek. Samotność, będzie balsamem na me rany; wyszedłszy raz z duszącej cywilizacji, natura ukołysze mnie, na swem macierzyńskim łonie; żywioły wezmą nademną przewagę; wody, kwiaty, niebo, odciągną elektryczność gorączkową, drażniącą me nerwy, zagrzebię się w wielkości, przestanę żyć, będę wegetował, a w końcu dojdę do tego, że mi wystarczy szczęście rośliny rozkwitającej w słońcu. Czuje potrzebę ostudzenia głowy i serca, bo jestem bardzo bliski szaleństwa.

Odpytam z Hawru. Od dziś za rok, napisz do mnie do warowni angielskiej w górach Rocheases i naznacz mi punkt spotkania, w kącie świata, gdzie się udasz by się pocieszyć, po stracie Ireny de Chateaudun.

LIST XXVII.

EDGAR DE MEILHAN DO PANI LUDWIKI GUERIN.

w Pont-de-l'Arche.

Richeport 23 Lipca 18...

Ludwiko, donoszę ci o postanowieniu, jakie zrobiłem, powinienem go może, dopełnić w cichości, ale marynarz zbłąkany w przestrzeni morza, nie umie się powstrzymać od wydania, choćby napróżno, ostatniego okrzyku, zanim się zagłębi i zniknie na zawsze. Łudzi się do ostatka, czekając ratunku. Trudno bo też to bardzo uważać się za skazanego nieodwołalnie, i wyrzec się nadziei łaski! List mój na nic się nie zda, a jednakże, nie mogę się powstrzymać od przesłania ci go.

Wyjeżdżam, opuszczam Francję, zmieniam świat i niebo! Jadę do Ameryki. Wątpię jednakże czy starczy szum oceanów i lasów dziewiczych, do przygłuszenia mych cierpień. Rozpacz moja jest niezmierną, trzeba jej obszarów. Zadusiłbym się tu. Zdawało-by mi się, na każdym skrawku alei widzieć fałdy twój białej sukni. Richeport, jest nadto tobą zaludniony, bym mógł tu zostać; wspomnienie twoje, wypędza mnie z niego na zawsze. Trzeba, bym widział między tobą a sobą wielkie niepodobieństwo, nie wiem nawet, czy dwa tysiące mil będą dostateczne do tego rozdziału.

— Gdybym został, rzuciłbym się może na nie-

dorzeczne gwałty, dla odzyskania mego szczęścia; nikt z większą jak ja trudnością nie wyrzeka się swych marzeń, szczególnie, jak jedno słowo mogłoby je zamienić w rzeczywistość. Ludwiko, Ludwiko, jakież powód oddala cię odemnie i zamyka mi twe serce.

Nie widziałas-że jak cię kochałem?

Czyż uczucia moje nie odbijały się w oczach?

Nie rozumiałaś że mego uwielbienia, tak jak nieczułe bóstwo prośb ukorzonego grzesznika?

Ja jednakże czułem, byłem przekonany, że cię uszczęśliwię, rozumiałem dokładnie najdelikatniejsze odcienie twój duszy i byłbym je wszystkie zadowolnić.

Za jakąż zbrodnię, niebo zesłało mi tak gorzką boleść, tak wielką rozpacz? Może niepodzieliłem jakiej szczerzej miłości, może zraniłem jaką duszę naiwną i czułą, a oziębłość twoja mści się za nią teraz? Może mimo twój woli, jesteś karą za jaką winę zapomnianą?

Okropnie to cierpienie, miłość wzgardzona! Powiedzcie sobie: osoba kochana istnieje, zdaleka odemnie, bezemnie; jest młodą, uśmiechniętą i przesłizną, — dla drugich. Rozpacz moja jest dla niej niewczesną, nie jestem jej do niczego potrzebnym; nieobecność moja, nie stanowi dla niej próżni, śmierć, wywołałaby tylko litość obojętną; wszystko co inni uznali dobrem i szlachetnym we mnie, nie robi na niej żadnego wrażenia. Moje poezje rozmarzały tyle młodych serc, a ona nie czytała ich wcale, — przymioty, szkodziły mi jakby były wadami; po cóż szukać świata, na pomieszczenie piekła; czyż go tu niema?

Uciekam z zakrwawioną raną, nie chcę jej leczyć, wolę umrzeć.

— Życzę ci szczęścia, niech cierpienie jakie mi sprawiasz, nie będzie ci nigdy policzonem. Życzę ci tego z całego serca; świat karze tylko zabójstwa ciała, niebo zabójstwa duszy. Niech że twoje morderstwo, ujdzie zemsty niebieskiej.

Żegnaj cię Ludwiko, żegnaj.

Edgar de Meilhan.

LIST XXVIII.

IRENA DE CHATEAUDUN DO P. VICE-HR. DE BRAIMES.

Hotel prefektury w Grenoble.

Paryż 27 Lipca 18...

Jestem bardzo zaniepokojona, kochana Walenty-no, co to znaczy, że od miesiąca nie odebrałam, ani jednego słowa od ciebie? Czy masz jakie zmartwienie? Może, które z twych dzieci zaskabło? Czy już nie jesteś w Grenoble? Czy bezemnie przedsięwzięłaś zamierzoną podróż? Zdaje mi się że to ostatnie przypuszczenie jest prawdziwym, a tym sposobem, listy moje gonią za tobą, a ty niewiedząc nic o moich nowych smutkach, nie spieszysz się z pociechą. Nigdy zaś tyle nie potrzebowałam twój przyjaźni co teraz. Postanowienie, jakie zrobiłam czyni mnie pomieszana, niespokojną! Postępuję wbrew swego serca, ale nie mogę inaczej. W całej tej sprawie jest osoba, zrozpaczona, exaltowana swem cierpieniem, która mimo swój woli ciągnie mnie ku sobie, dlaczegóż ja niemam przyjaciółki, któraby mnie wstrzymała, w mym własnym interesie?

Ale cóż mnie już obchodzi przyszłość! Nadzieja na zawsze stracona, smutna tajemnica w końcu wytkłomaczona została; pan de Villiers, już nie jest wolny, ma zaślubić jedną z mych kuzynek. O! nie kocha jej, jestem tego pewna, ale jest niewolnikiem swego słowa, a ona musi go kochać.

Czyż może poświęcać nieznaną, związki rodzinne i miłość lat dziecinnych? Gdyby mnie kochał prawdziwie, możeby znalazł odwagę na takie poświęcenie, ale miał dla mnie tylko współczucie, dość żywe nie tyle jednak silne by mogło wzbudzić postanowienie bofesne i okrutne. A zatem, dwie istoty stworzone dla siebie, spotykają się w życiu na chwilę, poznają się... i porzucają mimo swój woli, unosząc z sobą wieczny żal; wloką życie oddzielne, nieszczęśliwsi daleko, niż byli przed spotkaniem, wegetują w sferach przeciwnych, nie przywiązując

się do niczego, wołają się zdaleka, ale napróżno, zasmuceni na zawsze, zobaczywszy się raz jeden tylko. Są oni jak ci podróżni z różnych okrętów, którzy się spotkawszy, o jednej godzinie w jednym porcie, zamieniają z sobą, kilka słów przyjaznych, a nazajutrz, oddzielnie odpływają, udając się w zupełnie inne strony, pod inne nieba, ci na północ tamci na południe, jedni w pustynie śniegu, drudzy w pustynie ognia, daleko bardzo daleko jedni od drugich, by umrzeć i więcej się z sobą nie zobaczyć.

Czyż to prawda, że go już nigdy nie ujrzę? O! mój Boże! jakże go kochałam. Będę miała żal do niego całe życie, żem zmarnowała tyle miłości.

Trzeba ci jednakże powiedzieć, com postanowiła, bo jeżeli się zaczęję zastanawiać, nie będę miała siły do dotrzymania przyrzeczenia.

Pani de Meilhan, ma przyjechać po mnie, nie mogłam się oprzeć łzom tej nieszczęśliwej matki, do której nieszczęścia mimowoli się przyczyniłam.

Jest ona w rozpacz, syn opuścił ją nagle i pomimo tajemnicy jaką się otoczył, dowiedziała się, że jedzie do Ameryki, że jest w Hawrze, oczekując na odpyw statku amerykańskiego Outario. Ma nadzieję przybycia na czas jeszcze by zastać syna tamże, liczy że moje prośby wstrzymają go.

Smuci mnie to bardzo, że sprawiam tyle przykrości, ale czyż będę umiała pocieszyć? Będę przynajmniej wspaniałomyślną, boleść Edgara, jest moja, to co on cierpi ja cierpię dla drugiego: patrząc na jego cierpienia, widzę swoje, tym sposobem wzbudza we mnie litość, niechże mnie ona nauczy prośby, któraby go zatrzymała we Francji i przeszkodziła zasmucić matkę opuszczeniem jej przez syna. Zreszta, obowiązałam się już, pani de Meilhan liczy tylko na mnie. Piękne to uczucie miłość macierzyńska: przytkumia najsilniejszą dumę, niszczy plany najwznioślejsze, i dziś, ta kobieta tak wyniosła, złamana bólem, nazywa mnie swą córką, zezwala na to nędzne małżeństwo, które zrujnuje jej syna, o którym nie mogła przedtem pomyśleć, bez wstępu; płacze, błaga... Dziś rano ścisnęła mnie z zapalem. Oddaj mi syna! oddaj mi syna! wołała, kochasz go, on cię kocha, jest piękny i rozumny; nie zobaczę go już, jeżeli mu pozwolisz odjechać; powiedz mu że go kochasz: oddaj mi syna!

— Cóż jej miałam odpowiedzieć?

Jakże przekonać taką matkę, że się jej syna nie kocha!.. Gdybym miała odwagę powiedzenia jej. Nie kocham go! kocham innego... odpowiedziałaby: Kłamiesz; niepodobieństwo, by był na świecie człowiek godniejszy miłości, jak mój syn. Tonęła we łzach, czytając list, pisany do mnie przed wyjazdem Edgara; list ten Walenty-no, jest wzruszający i szlachetny i ja płakałam czytając go.

W końcu dałam się pociągnąć, będę towarzyszyć pani de Meilhan do Hawru, mam nadzieję że przybędziemy przed odpłynieniem okrętu... Edgar nie pojedzie do Ameryki, a ja!.. Oh! dla czegoż, to on mnie tak kocha!.. Idą już po mnie. Żegnaj cię, napisz do mnie, droga Walenty-no. Ach jakże jestem niespokojna. Gdybyś tu była!.. Cóż się ze mną stanie?.. Żegnaj cię.

Irena de Chateaudun.

LIST XXVIII.

IRENA DE CHATEAUDUN DO VICE-HRABINY DE BRAIMES.

Hotel prefektury w Grenoble.

Paryż 2 Sierpnia 18...

Jakże to szczęśliwie dla mnie kochana Walenty-no, że byłam całe życie, osobą prawdomówną, nie-nawidzącą kłamstwa, bo gdyby nie to, nieuwierzy-łabyś zapewne, temu wszystkiemu, co ci opowiem. Zbieram teraz owoce, odważnych wysiłków szczerości, tak zawsze szanowałam prawdę że nabyłam niejako prawa, świadczania o niepodobieństwach. Ileż wypadków, w ciągu kilku godzin! Opowiem ci wszystko wiernie, nie zastanawiając się wcale; niechże żebyś mnie posądziła, o chęć ubarwienia i podnoszenia ich wartości. Są one już same przez się świetne; daleka od nadawania im blasku, będę chciała je nawet trochę zaćmić, dla nadania prawdopodobie-

stwa. Opuściliśmy Pont-de-l'Arche, z sercem napelnionem smutkiem i niespokojnością. W drodze pani de Meilhan, jakby wątpiąc o energii mego postanowienia i wytrwałości w temże, mówiła o swym synie z zachwyceniem. Chwaliła szlachetność jego charakteru, bezinteresowność, dobrą wiarę, wymieniała nazwiska bogatych panien, z jakimi nie chciał się żenić, w ciągu dwóch czy trzech lat ostatnich. Rozповідаła mi jak wielkie miał powodzenie w świecie jako poeta i człowiek pełen przymiotów; dawała do zrozumienia jak przeważnie może oddziaływać szlachetna miłość na jego geniusz, opisywała tę miłość w sposób taki rozczulający, że mnie wzruszyła i przejęła, jeżeli nie miłością, to czułą wdzięcznością.

Edgar dotąd niekochał tak nikogo, jak mnie, opowiadała dalej; to uczucie zmieniło zupełnie jego wyobrażenia, żył tylko mną, chcąc aby zwracał uwagę na to co mówię, trzeba było wmięszać moje nazwisko; spędzał dzień i noc na tworzeniu poematów na moją cześć, w których byłem opisywana z całym poetycznym urokiem wzniosłym, zachwycającym i porywającym. Miał wracać do Paryża, gdzie go czekała niecierpliwie, piękna markiza de R... ale nie miał odwagi opuścić mnie dla niej. Poświęcił dla mnie, bez litości, tę kobietę, tak piękną szlachetną, uwielbianą i odznaczającą się wyższem wykształceniem. Opowiadała płacząc, szaleństwa jakie robił w Richeport, powracając z Pon-de-l'Arche po daremnych usiłowaniach zobaczenia się ze mną, dopuszczał się wtedy okrucieństw na koniu, którego tak kochał, na kwiatach, które niszczył niemilosierdzie po drodze. Czasami znów rozpacz jego była, cicha i milcząca, to znów opisywał jej swoje nieszczęście, w końcu wyjechał, co przewidywała, nie mogąc jednak temu przeszkodzić. Widząc mnie wzruszoną tem opowiadaniem, brała za ręce, błogosławiła i dziękowała stokrotnie, chcąc mnie tem wszystkim ująć. Bolałam nad tem, że byłam powodem tylu przykrości, robiłam sobie wyrzuty, że niewinną zalotnością wzbudziłam taką namiętność, i to było sprawiedliwe. Edgar miał słuszną. Wziął dla siebie, te uśmiechy kłamliwe; w pierwszych czasach mego pobytu w Pont-de-l'Arche nie robiłam sobie z méj uprzejmości, żadnego skrupułu, miałam za kilka dni odjechać i nigdy już nie wrócić.

Potem, odepchnęłam nielitościwie jego miłość, to prawda, ale mógłże uwierzyć w tę pyszną pogardę, znajdując mnie za powrotem u swéj matki?

A tam, mógłże odgadywać różnorodne fantazje mych marzeń, bo przecież nieraz, potrafił mnie wzruszyć i byłam dla niego dosyć uprzejma. Mógłże się domyśleć owego dziwnego uczucia, zrodzonego raptownie w méj duszy, dla cienia, widzianego, przez kilka tylko godzin?... Przeciwnie, miał wszelkie prawo, uwierzyć w to że go kocham, oburzyć się i wołać o pomstę, kiedym mu odmówiła widzenia, kiedym się go zupełnie wyparła. Miał słuszną obwinienia mnie, wszystkie pozory są potępiające; trzeba się uznać winną i poddać się wydanemu wyrokowi.

Postanowiłam więc naprawić złe jakie uczyniłam.

Jedna jeszcze zostawała nadzieja: namówię Edgara, do powrotu, oddam go matce, ale jak się dowie kto jestem, jakie moje nazwisko, przestanie mnie kochać. To zupełnie co innego, kochać awanturnicę, którą można lekceważyć, niż kobietę ze sfer salonowych, z którą się trzeba uroczyście ożenić. Edgar ma do małżeństwa wstręt nieprzewyciężony.

Słyszałam jak nieraz głośno o tem dowodził. A zatem powtarzałam sobie: Edgar, nie będzie się chciał nigdy żenić, ale pani de Meilhan, która znała te dziwne wyobrażenia swego syna zapewniała, że się zupełnie zmieniły, że wymieniając, mnie jednego dnia, zawołał z gniewem:

— Oh! jakżebym chciał być jej mężem, zamknął bym ją u siebie, nie pozwolił nikomu na nią spojrzeć! Teraz, mówię, rozumiem dla czego się żenią.

— To wszystko nie jest bardzo zapewniające, ale się poświęcam na ofiarę, a dla ofiary niema granic poświęcenia.

Wspaniałomyślność, jest bezwzględna, jak okrucieństwo.

Po nocy przepędzonej w drodze, stanęliśmy o godzinie dziewiątej zrana w Hawrze, bardzo zmęczone i strudzone. Kazałyśmy się czempredziej prowadzić do biura odjazdowego, gdzie pani de Meilhan po długich poszukiwaniach, dowiedziała się w końcu od zaspianego urzędnika że Edgar zamówił miejsce, na statku Ontario...

— Kiedyż odchodzi ten statek?...

— Tego pani nie powiem odrzekł urzędnik ziewając.

— Pobiegłyśmy do przystani, pytając drżącym głosem:

— Czy dziś odplywa statek Ontario? Zwracamy się naprzód do starego siwego oficera, ale odpowiada nam dyalektem czysto marynarskim, jakiego zupełnie zrozumieć nie możemy. Drugi majtek odpowiada nam: Ontario? jest już bardzo daleko! Tego znów niechciałyśmy wcale zrozumieć. Przybywszy nakoniec do przystani, zastałyśmy wielkie zgromadzenie ludzi, patrzyli oni z zajęciem, na mały czarny punkt, rysujący się zdaleka na wodzie, — Ja już nie widzę mówił jeden, — Ja widzę jeszcze nieco dymu, powiedział drugi... Pani de Meilhan błada, bez tchu, nie mogła wydobyć głosu, by zapytać nazwisko odpływającego statku... Prokowałam wymówić: Ontario...

— Tak, tak — zawołało kilka głosów — dzielny statek, jak ptak pomyka, niech pani będzie spokojna, nie jest on leniwy, przyjaciele pani będą w Ameryce, od dziś za dwa tygodnie. Dziwi to panią, ale tak jest...

Pani de Meilhan upadła bez przytomna. Zanieśli ją do powozu, ale była tak odurzona, że nie mogła wcale, zastanowić się nad swoim nieszczęściem. Zawieźli nas do sąsiedniego hotelu, przemieśli ją do jednego z najlepszych pokoi, siedziałam przy niej płacząc cicho, i wyrzucając sobie z boleścią rozpacz, w jaką w prowadziłam tę nieszczęsną rodzinę.

W pierwszych chwilach odrętwienia pani de Meilhan, zносиła mnie przy sobie, ale jak tylko przyszła do przytomności, wpadła w gniew gwałtowny, obsypywała mnie najokropniejszymi zniewagami nazywała: nieznosną intrygantką, awanturnicą bez nazwiska, co swemi manewrami komedianckimi, zawróciła głowę jej szlachetnego syna; który znajdzie śmierć w obcych i nieznanych krajach. Co za szkoda mówiła, widzieć człowieka wyższego, sławą swego wieku, wpadającego w sidła kobiety, co nawet nie umiała być jego kochanką, kochać go przez dzień jeden; kobiety próżnej chcącój by ją zaślubił; a która go poświęciła, dla pana de Villiers, dowiedziawszy się iż tenże jest bogatszy... I wiele tym podobnych przyjemności, zasłużonych również jak poprzednie nasłuchiłam się do woli.

(d. c. n.)

WIERSZ

DO ANTONIEGO OLESZCZYŃSKIEGO

w Paryżu.

Ojciec Antoni! pół wieku prawie,
Z rylcem nad stałą schyłony,
Zaszczytnie służysz pocziwéj sławie,
I zbierasz pracy twój plony.

Dawno już kwitnie wieniec bogaty
Na zasłużonej twój skroni,
Czas go rozwinie w cudniejsze kwiaty
Drogi mój ojciec Antoni.

I ja oceniam godnie twą sławę,
Wiem że jej blaski nie zgasną,
Lecz niemniej cenię twe serce prawe
Twą duszę prostą i jasną,

I ową miłość pełną uroku
Co wszystkich strzeże i broni,
I plewy w bratniem nie widzi oku
Tę cenię ojciec Antoni.

Niech długim dziobem bocian w kałuży
Wytępia węzów złe plemię,
I praca jego świata posłuży
Z gadów oczyści on ziemię.

My jak skowronki lećmy w niebiosa,
Lećmy ku słońcu dłoń w dłoni,
Tam nas poranna orzeźwi rosa,
Drogi mój ojciec Antoni.

S. z Ż. D.

Przegląd literatury zagranicznej.

Essai sur Talleyrand par Bulver, streścił

Wiktor T....

(Dokończenie.)

W tym to czasie Mirabeau wymową, zapałem pociągający za sobą tłumy, ściągnął na siebie uwagę dworu. Z rodu znakomitego, udekorowany tytułami hrabiego i margrabiego uniesiony gorączką z huraganem pędzącej idei, z kantoru kupieckiego zasiadł w zgromadzeniu jako deputowany. Słowa jego płomienne, przytomność, poświęcenie bez granic, prąd wypadków skupiały prawie w jego rękę. Talleyrand poznawszy to, natychmiast przyłączył się do stronnictwa pragnącego Mirabeau'a przywiązać do dworu.

— Trzeba go zrobić ministrem — rzekł na radzie. Teka ministerjalna stanie się puklerzem która zneutralizuje zbyt wygórowane pragnienia. Wprawdzie szła każdy krótkotrwały, burzy a nie buduje, ale żeby zbyt wielkiej nie narobił ruiny, trzeba go okełznać jak dzikiego rumaka i tym sposobem zrobić użytecznym a nie szkodliwym.

Projekt zyskał zatwierdzenie króla, ale Izby prawie jednomyślnie oparły się i uchwały prawo, zabraniające deputowanym przyjmowania godności ministerjalnej.

Zawiadomiony o dekrete Talleyrand potrząsł głową i rzekł najspokojniej:

— Walka przegrana ale zwycięstwo przy nas. Ryk lwa złagodzi się i nie będzie tak przenikliwym jak dotąd.

Omylił się jednak w tem przypuszczeniu: Mirabeau zachwiał się, obrzucono go nawet złorzeczeniem ale znowu powstał i stanął na nowo na zdobycem już stanowisku. W dalszym rozwoju wypadków Talleyrand z jednym zawsze spokojem patrzył na ich przebieg. Starając się o przyjaźń Neckera, skarbiąc przychylność Lafayette'a mianowanego dowódcą świeżo utworzonej Gwardji narodowej, po przypięciu trójkolorowej kokardy przez króla, poszedł za jego przykładem, powstając przeciw rozpoczętej emigracji do Turynu, książąt Kondeusza, Conti, hrabiego d'Artois i innych.

— Osłabiacie nas, mówił do nich — a sami się ubezwładniacie. Rozdwajanie sił zawsze uszczerbek przynosi: mądrym być należy swego czasu. Emigracja jednak nie ustala, a gdy w pośród wiru stronnicych waśni, nadeszła chwila federacji narodowej, w świetnej tej uroczystości naznaczonej na dzień 14 Lipca 1790 roku, Talleyrand jako biskup celebrował mszę przy ołtarzu ojczyzny wzniesionym na polu Marsowem, poświęcał chorągwie, później wyswiewał księży konstytucyjnych. Było to już jawne połączenie się z ruchem, zrywające z głową kościoła. W następnym też roku wyklęty przez papieża, złożył godność biskupa i przez króla wysłany został do Anglii w celu zawarcia układów. Minister Pitt odrzucił pełnomocnictwo nie uznając go za dostateczne, Talleyrand niezrażony niepowodzeniem, pozostał w Londynie, przekonawszy się jednak, że pobyt jego dalszy już

jest daremnym, że koniecznie trzeba się połączyć z prądem rwącego wszystko potoku, aby nie być przez niego zalany, postanowił wrócić do Paryża. Przyjaciele zamiar ten potępili, Talleyrand odrzucił wszelkie namowy i upór swój o mało nie przypłacił życiem.

Dnia 11 Sierpnia 1792 roku stanął w murach Paryża. Było to nazajutrz po wybuchu rozruchów, w których Danton przewodnicząc pospólstwu, zadał ostateczny cios zgromadzeniu prawodawczemu. Talleyrand sądząc się zupełnie bezpiecznym, nieprzewidując wykrycia tajemnych czynności w Londynie, znajdujących się w listach w kancelarii królewskiej, przebiegał Paryż ufny w zasługi jakie położył przy uroczystości konfederacji narodowej. Ale zaufanie za daleko go uniosło; i gdyby nie pomoc Dantona, ówczesnego ministra sprawiedliwości, Talleyrand byłby padł ofiarą swego zaufania. Pobyt dalszy w Paryżu stał się niepodobnym. Szał opanował wszystkich, do walki wystąpiły wszystkie namiętności, bez żadnego hamulca. Talleyrand przejęty strachem, patrząc na otchłań pożerającą ludzi, na ruchliwość stronnictw darzących się wzajemną nienawiścią, porzucił Europę i osiadł w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

Po trzechletnim tamże pobycie, widząc zgnieciony terrorizm, skłonił się wreszcie do opuszczenia dobrowolnego wygnania i po zamachu stanu 18 Fructidora r. 1797 objął ministerstwo spraw zagranicznych. Odtąd Talleyrand czynnego udziału w sprawach publicznych już nie zaprzestał. Przewidując upadek Rzeczypospolitej szedł ciągle z biegiem wypadków, starając się zawsze jak mówił, być mądrym swego czasu i nie próbować wątpliwiej walki Davida z Goljatem. Zawsze stronnik siły, całą przenikliwość używał na rozpoznawanie jej przejść od osób do osób. Mało ceniąc wypadki, nie poddając się zbyt częstej radości w powodzeniu działań Francji, ani smutkowi w dniach trwogi, szedł bez przerwy raz obroną drogą trzymając się klamki co rozkwierała podwoje do zaszczytów i godności. Ta to oględna pamięć na siebie, połączona z bystrością poglądu i przewidywania, po powrocie Bonapartego z Egiptu przykuła go do jego osoby, nie tak jednak silnie, aby i w upadku pozostał mu wiernym. Genjusz olśnił go, zdobyta sława młodego wodza przeraziła niemal, ale pociągnięty potęgą jego umysłu, poznał odrazu w nim przysłego Francji przodownika i postanowił zaprzadzić się do jego tryumfalnego rydwanu. Ztąd to wynika nieograniczona uległość i poświęcenie dla Bonapartego najprzód konsula a później cesarza, którą młody wódz wynagradzając zrobił go swoim stałym doradcą, a po ustanowieniu cesarstwa pierwszym szambelanem i księciem udzielnym Benewentu.

Używany do najdrażliwszych czynności dyplomatycznych, darzony ciągle największym zaufaniem Napoleona I, służył mu rzeczywiście wiernie namawiając w celu utrwalenia pokoju w Europie, do ścisłego związku z Austrią i Anglią. Napoleon rady nie przyjął i działając w przeciwnym kierunku rzucił pierwszą iskierkę wątpliwości w umysł Talleyranda, ażali genjusz cesarza nie traci co ze swęj mocy. Pod jej to naciskiem Talleyrand rozwinął z Anglią samowolne działanie: pokój w Tyłży wykrył to nadużycie, Napoleon rozgniewany nie znośzący w niczem współudziału, ulubienca usunął z gabinetu, i mianował wielkim wice elektorem cesarstwa. Talleyrand i łaskę i nielaskę przyjął z uległością: blask sławy i genjuszu cesarza za nadto był jeszcze silnym, aby było pożytecznie opór stawiać jego woli lub okazywać z czegoś niezadowolnienie. Mimo to już od początku 1812 roku Talleyrand przeszedł na stronę Bourbonów, a nie stało się to skutkiem niechęci osobistej, ale wprost dostrzegania szczerb i rysów w tronie Napoleona, niewidzialnych dla wielu, dla niego jasnych i wyraźnych. Przeczuwając upadek władzy swego, pragnął nie tylko uniknąć szwanku, ale nawet zaskarbić sobie względy przyszłego pana Francji. Od tej chwili czynności jego stają się coraz jaśniejsze, wątpliwości nikną co do usposobienia jego moralnego, i wpływa z nich człowiek, którego napróżno stara się Bulwer, owładnięty dziwnym porywem pobbłażania, przedstawić jeżeli nie oczyszczonym zupełnie to wytlómaczonym. Daremna to jednak praca: zręczność nie zawsze opromienia blask chwały godnej po-

wszechnego oklasku. Częściej pomykają się po niej ciemne plamy, szczególnie gdy cel któremu służy, ściśle złączony z osobistym interesem, posługuje się wypadkami jak pionami na szachownicy aby partja została wygraną. W takiej grze Talleyrand był mistrzem: poświęcanie się dla przekonania choćby najwznioślejszych było dla niego śmiesznością: ludzi i wypadki oceniał według zysków procentowych jakie przynoszą, wszelkie zaś moralne względy uważał za zera bez jedności a nawet przed nią postanowione. To też w roku 1814 chociaż wielki elektor, regencję cesarzowej popierał pozornie i starał się o jak najspieszniejsze zajęcie Paryża przez sprzymierzonych. Później pozwoliwszy się zmusić do pozostania w stolicy, głównie przyczynił się do złożenia z tronu Napoleona I i zaprowadzenia rządu tymczasowego, pod swoim przewodnictwem.

Ludwik XVIII zaraz po zajęciu tronu, oceniając zasługi Talleyranda zrobił go księciem i parem i mianowawszy ministrem spraw zagranicznych, wyprawił na kongres do Wiednia.

Dalsze czynności jego wymagają obszerniejszej relacji z licznymi komentarzami i uwagami, aby mogły w jasnej prawdzie stanąć przed sądem czytelnika. Bulwer pojmuwał wybornie jego stanowisko, znał równie dobrze ferment społecznych wyobrażeń, które pod hamulcem stariej organizacji, parły się do światła jak lawa z wnętrza wulkanu do jego czeluści, ale dziwną jak powiedzieliśmy uniesioną pobbłażiwością, starał się pokazać dobrą ty ko jego stronę, z wykazaniem że zboczenia były konieczne, nie uniknione, nawet zgodne z mądrze pojętem stanowiskiem. Jest to słabsza strona całego tego historycznego studjum, nie bez zalet jednak i głębszego na rzeczy poglądu. Jednostka nie może się żadnym sposobem wyłamywać z pod zasad uświęconych przyjęciem ogółu. Kodeks moralności obowiązuje wszyscy h bez żadnego wyjątku: pomiatającego nim bezstronna krytyka powinna wywołać głośno, i wskazać palcem zarówno wielkiego jak najmniejszego z pomiędzy maluczkich. Wprawdzie w zlewku różnych namiętności tworzących człowieka, zawsze kryje się pewna doza dobrego przyémiona zewnętrznymi objawami złego, ale w ocenie politycznej osobistości, względ na to może historyka wprowadzić na manowce, szkodliwe i dla dzieła i dla gruntowności autora. Bulwer błędu tego nie uniknął a co gorsza starał się wszelkimi sposobami, uznane prawdy spaczyć rozumowaniem i jak zręczny prawnik nadać im znaczenie według swego pojęcia, a raczej dla powiększenia światła w czynach, zaémiewanych ich treścią. Talleyrand, powiada Bulwer, nie poddając się nigdy okolicznościom, usiłując koniecznie nad niemi zapanować, rozumiał bardzo dobrze kiedy im uleż należy a kiedy je odrzucić, ale i w uległości tej starał się ile możności uznanemu przez siebie złemu nadać moc jak najmniejszą. Poddawał się mu gdy musiał — niszczył gdy czuł się do tego dość silnym, ale stałe posłubienie jakiejś idei, upieranie się przy niej i w chwili jej pogromu poddanie się milcząco, uważał za niedorzeczność godną tylko śmiechu a prawie pogardy. Bohaterstwo zatem w poświęceniu to byłby rodzaj obłąkania, a męczeństwo dla idei to tylko dramat mogący każdego przynęcić, gdyby się go życiem nie opłacało.

Pomimo stanowiska autora, z jakiego stara się przedstawić w studjum swoim historycznym, znamienitą postać Talleyranda, a na jakie trudno się zgodzić, dzieło starannie i pracowicie wygotowane, przedstawia mnóstwo szczegółów dotąd nieznanych, które dla przyszłego bijografa tego dyplomaty będzie źródłem niezmiernie ważnym. Tak jak jest, przedmiot do połowy tylko wyczerpuje, a raczej przedstawia go z jednej strony i to najponętniejszej.

JOURNAL DES FEMMES.

Wtedy dopiero może nastąpić poprawa obyczajów, gdy kobiety przyjmą udział w pracach umysłowych na równi z mężczyznami, gdy im dorównają rozwojem ducha, jednym słowem, gdy kobiety pozyskają w społeczeństwie, stanowisko i wpływ przynależny ich zdolnościom i najszlachetniejszym przymiotom.

Juljusz Ferre. (Mowa przy wejściu do Akademii francuskiej.)

Oto słowa które obrał sobie za godło *Journal des Femmes* (*Dziennik dla kobiet*) nowe pismo dla kobiet, które zaczęło wychodzić w Paryżu z d. 1 Marca r. b. pod redakcją p. A. Bouyon. Pierwszy numer obejmuje szczegółowy program, w którym Redakcja przyrzeka traktować z właściwego stanowiska o polityce, ekonomji, sztukach pięknych i literaturze, oraz nie pomijać żadnej kwestji żywotnej tak z dziedziny nauki i wynalazków, jakoteż wychowania i gospodarstwa domowego, słowem niczego co tylko może się przyczynić do uzaczenia moralnego i zapewnienia dobrobytu rodzin. Oto trzy główne cele do jakich zmierzać ma „Dziennik dla kobiet“.

Najpierw, wskazać kobietom na czem się zasadza prawdziwa ich godność; zwrócić ich uwagę na wiele, bardzo wiele przedmiotów i zdań o których większa część wcale nie myślały dotąd; wykazać potrzebę gruntownego ukształcenia i wtajemniczyć w rozkosze życia umysłowego, słowem rozkrzewiać między kobietami prawdziwą naukę i gruntowne ukształcenie, zamiast płytkiej i powierzchownej ogłady.

Powtórnie, starać się o podniesienie społecznego prawnego i politycznego stanowiska kobiet.

I nakoniec zdobywszy kobietom należne im stanowisko, wyjednawszy słuszne prawa i możność zapewnienia sobie uczciwą pracą niezależnego bytu, wyrobić w nich wysokie poczucie własnej godności, a tem samem usunąć powody tysiącznych nieszcześć, występków i hańby, którejj podlega tyle kobiet, a z niemi tyle rodzin. „Gdy kobieta i mężczyzna mówi p. Bouyon, rozwiną w domowym życiu jednaki zasób pracy, nauki, wpływu i władzy; gdy dzieci, wychowywane przez matki rozumne i pojmujące całą ważność świętego swego posłannictwa, będą miały od kolebki wpajane zdrowe zasady moralności i cnoty; gdy wzrosną w przekonaniu że życie nie jest zabawką ale wielkim i ciężkim obowiązkiem, wtedy szczęście i wzajemny szacunek rozjaśnią domowe ogniska i silniejszymi ogniwami zacieśnią rodzinne węzły, a tem samem oddziałają skutecznie na umoralnienie i podniesienie całego społeczeństwa.“

Program piękny i bardzo pożądany, przyszłość okaże czy pismo potrafi mu odpowiedzieć. Jeżeli jednak pójdzie we wskazanym kierunku, a mianowicie jeśli głos jego nie będzie głosem wołającym na puszczy, stanie się wielce pożyteczne i znakomite położy zasługi, bo czas już wielki nadać właściwszy kierunek społeczeństwu, powstrzymać go w szalonym biegu po drodze lekkomyślności, bezduszności i rujnującego zbytku.

Numer ten prócz pary pomniejszych zawiera obszerny artykuł pióra p. Maryi Goegg, z Genewy p. n. „*Krótki rys obecnego ruchu na korzyść kobiet*“ (*Résumé abrégé du mouvement actuel en faveur des femmes*).

Autorka dowodzi że kwestja kobiet jest obecnie na porządku dziennym całego ucywilizowanego świata, że żywo zajmują się nią najznakomitsi pisarze, mówcy, mężowie stanu wszelkich narodowości, i wszyscy niemal zgadzają się: że główną przyczyną klęsk przygniatających ludzkość, jest niewłaściwe stanowisko i wychowanie kobiet, nie odpowiadające potrzebom społeczeństwa, skutkiem czego zamiast skupiać, marnuje ono bezpożytecznie większą połowę sił swoich. Dalej przechodzi wszystkie niemal główne państwa, i wymienia pisa-

rzy a szczególnie kobiety występujące w obronie praw kobiety.

I tak, mówi p. Gregg, pierwszy krzyk oburzenia na pokrzywdzenie praw kobiety, wydała Ameryka, ta ziemia zamieszkała przez wolnych obywateli, umiających uszanować godność jednostek. Między najgorliwszymi obrońcami równouprawnienia kobiet i przyznania im wszelkich praw politycznych na równi z mężczyznami, odznaczyły się Mrs Stanton, Miss Suzanne Anthony, Miss Parkerr, Miss Olympia Brown, i wiele innych.

W Anglii najznakomitsi mężowie stanu, jak Gladstone, Steward Mill, Bright, Fawcett i kilku innych, są gorliwymi stronnikami równouprawnienia kobiet.

Z kobiet zaś najzapaleńszymi obrońcami sprawy płci swojej są: Miss Lydia Becker, sławna ze swjej obrony w sprawie 5000 kobiet, domagających się praw zamieszczenia na liście wyborczej, a to na mocy nowego bilu reformy, którego warunkom odpowiadały w zupełności. Dalej miss Bright, córka sławnego mówcy dziś ministra angielskiego, Mrs Pochin, lady Clifton, Mrs Poiscilla Mac Laren. Pomimo że pierwsze na tej drodze pokuszenia, nie powiodły się damom angielskim, jednak nie dały jak to mówią za wygraną, postanowiły na nowo rozpocząć walkę przy najpierwszych wyborach, i w tym celu utworzyło się w Manchester mieszanne stowarzyszenie, dla domagania się prawa głosowania dla kobiet (*Manchester national society for women's suffrage*). Do stowarzyszenia tego należą najznakomitsi członkowie parlamentu; sekretarzem jest Lydia Becker.

W Niemczech także od lat czterech powstają różne stowarzyszenia kobiet; te jednak nie domagają się jak w Anglii natychmiastowego przyznania kobietom praw politycznych na równi z mężczyznami, ale postanowiły pierwój pracować nad rozwojem nauki i kształcenia kobiet, aby w przyszłości mogły odpowiedzieć godnie temu zadaniu. I w tym celu stowarzyszenia te głośno dopominają się dla kobiet prawa nauki i pracy i pozakładały szkoły wyższe, wystawy przemysłowe, szkoły wieczorne, oraz kursa i odczyty wieczorne dla kobiet wszelkiego stanu i wieku.

W Lipsku wychodzi dziennik dla kobiet, redagowany przez p. Ludwikę Otto-Peters, pod n. *Nowe drogi* w Stutgardzie *Gazeta powszechna dla kobiet* posiadające licznych bardzo prenumeratorów.

Z pomiędzy kobiet najczynniej działających w tej jak nazywają „świętej sprawie“ są: Pani Ludwika Otto-Peters, pani Rozalja Schönwasser, panna Augusta Schmidt, panna Henryka Goldschmidt; co zaś do mężczyzn, najsilniejszymi orędownikami sprawy kobiet, jest p. Jacoby i jego stronnicy, wszyscy przeciwni polityce pruskiej. I we Francji sprawa równouprawnienia kobiet zalicza do szeregów swoich najsłynniejszych adwokatów i pisarzy: na dowód dość przytoczyć nazwiska: Juliusza Favre, Ludwika Blanc, Juliusza Simon, Ernesta Legouvé, Karola Jourdan, Karola Lemonnier, Alfreda Assolant, Odysse, Barot, Andrzeja Boussole, Emila de Girardin, Anatola de la Forge, Horu'a i t. d. Z kobiet p. Goegg wymienia pp. André-Leo, Maxime-Brenil, Bosquet, Maria Deraisse, Paula Mink i w. j.

Włochy nie dają się wyprzedzić innym narodom, i tu spotykamy liczne zastępy kobiet wysoko i gruntownie ukształconych, które starają się o szerzenie oświaty i nauki w pośród współrodaczek swoich. Panna Gualberta, Adelajda, Beccari, z Wenecji, od lat dwóch założyła dziennik p. n. *La Donna* którego celem kształcić i duchowo podnosić kobiety, córki, żony i matki rodzin, aby godnie odpowiadały obowiązkom, jakich społeczeństwo ma prawo wymagać od nich, jako od połowy wielkiej rodziny ludzkiej. Między współpracowniczkami dziennika, odznacza się panna Marja Mazzoni, a z deputowanych pan Sessa i Salwator Morelli, który nie wahał się przemawiać w parlamencie włoskim za równouprawnieniem kobiet.

W Portugalji wychodzi od roku tygodnik pod n. *a voz femiscima* pod redakcją p. Franciszki d'Assez Martinez Wood, która stara się rozbudzić w rodaczkach swoich wyższe poczucie godności własnej, oraz niezbędność gruntownej nauki i pracy.

W Rossji 150 dom podało do ministra oświecenia, petycję w której domagają się utworzenia uniwersyte-

tu dla kobiet; prośba ich o tyle uwzględnioną została, iż przy uniwersytecie petersburskim otworzono dla kobiet kursa historii, filologii i nauk przyrodzonych, oraz dozwolono uczęszczać na kursa medyczne.

W miesiącu maju 1868 r. za staraniem pani Marji Goegg, utworzyło się w Genewie w Szwajcarji „Między narodowe stowarzyszenie kobiet“ z zamiarem zawiązania stosunków po całym świecie, w celu popierania i obrony praw kobiet i połączenia ich sił rozproszonych ścisłym węzłem solidarności. Stowarzyszenie to coraz więcej znajduje zwolenniczek, najliczniejszych członków dostarczają Niemcy i Włochy.”

Podaliśmy Czytelniczkom naszym główną treść pierwszego numeru nowego, ich sprawie poświęconego pisma. Jeśli zgodnie z ogłoszonym programem, zmierzać będzie, nie jak się to dziś często zdarza, do przewrócenia głów, i bez tego niestety nie zawsze wolnych od zawrotu, ale do zbudzenia silnego poczucia wyższych obowiązków i przeznaczeń jakie Stwórca naznaczył kobiecie, a tem samem do szerzenia zamiłowania nauki i pracy, jako jedyne go środka zapewniającego nam zadowolenie własnego sumienia, oraz niezależność i uznanie wszystkich rozumnych i uczciwych ludzi, nie omisszamy podawać tu wszystkiego co tylko do tego celu zmierzać będzie.

J. Belejowska.

Doniesienia literackie.

N 69 P-zyjaciela Dzieci wyszedł z druku i zawiera: Myszka wieża (z drzeworytem). — Wspomnienie historyczne o rzece Cydau (dokończenie). — Wielkość dzieł bożych w ich ogromie. — Kopalnia węgla kamiennego (z ryciną). — Zdarzenie z lampą, przez Wielisława, starego przyjaciela dzieci. — Gawęda naukowa o zębach I. Bajki I. — Zabawa w gaju (z ryciną). — Korespondencje. — Myśli i zdania.

Cena w Warszawie miesięcznie kop. 35, kwartalnie rs. 1 kop. 5. Na prowincji, w Cesarstwie i zagranicą, kwartalnie rs. 1 kop. 75.

O UBIORACH.

Paryż 26 Kwietnia 1869 r.

Nim przystąpimy do drobiazgowego opisu kapeluszy, zakupionych tu na model przez p. Kuhnke, powiemy wprzód kilka słów o przyjętym rodzaju kapeluszy. Jak zwykle tak i w tym roku panuje w nich różnorodność: jedne mają formę podobną do czółka, drugie do fanszonika, trzecie składają się z samego rondka a raczej z samego djademu, po nad czołem. Wszystkie jednak zgadzają się w tem że są wysoko podniesione do góry, i bogato przystrojone kwiatami. Ozdobne szarfy illuzyjne lub krepowe mocno wygarniowane stanowią także cechę tegorocznego kapelusza. Szarfy te u skromniejszych przepięte są bukietem na piersiach, u strojnniejszych zamiast dwóch idzie jedna szarfa, przeciągnięta przez piersi jak naszyjnik; dla tego szarfa taka zowie się *Colier*, zwykle bywa przybrana blondyną — kokardkami lub waziutką girlandką.

Między kapeluszymi któreśmy oglądali odznaczał się śliczny kapelusz z krepki niebieskiej, złożony z samego tylko djademu, wysoko podniesionego nad czołem, i z końców wygarniowanych krepą, spiętych na atlasową kokardę. Djadem nagarniowany krepą, przybrany wielkimi bławatkami, i pączkami róży.

Drugi kapelusz z illuzji, wysoko podniesiony nad czołem, podpięty z boku gałązką heliotropu z listkami — z drugiego boku spuszczone białe pióro. Po za djademem kokarda z białej wstążki gros-grain. Szarfa (*colier*), nagarniowana illuzjową ruszą, spięta z boku na białą kokardę. Do tego dodany woal zupełnie nowego rodzaju, dosyć duży, zarzucony na cały kapelusz, spięty w tyle kokardą białą.

Trzeci kapelusik biały łydkowy w kształcie bardzo oryginalnym. Z przodu małe rondo za-

chodzi na czoło bez podniesienia, tworząc w pośrodku mały ząb. Zakończa go rulon aksamitny czarny. Na samym środku to jest na zębie leży czarna kokarda, nad nią zaś stoi podniesiona w górę koronka. Od tyłu podpięty wielki bukiet z małych różyczek *pompons*, od bukietu spada długa gałązka na warkocz. Szarfy koronkowe spinają się kokardą czarną i bukietem.

Czwarty kapelusz także bardzo oryginalny, z magazynu pani Gayel, w kształcie czółka, zasługuje na szczególną uwagę. Nad czołem nagarniowana koronka czarna, nad tem upięte fijołkowe kwiatki. Z tyłu przechodzi girlanda z liści pożyczkowych, od której spada jak frendzla kwiat pożyczek. Końce koronkowe przepięte kokardą.

Piąty kapelusz dla starszej osoby, z białego włosienia. Z pod rondka a raczej djademu spada na warkocz buffa z niebieskiego poult de soie, pokrywa ąca warkocz. Nad czołem nagarniowana rusza z tejże materji. Szarfy także same ogarniowane ruszą do koła, spięte pod brodą na rozetę.

W ogólności do ubierania kapeluszy używane szczególnie drobne kwiaty, ale ilość ich bardzo wielka, niekiedy mieszane razem jedne z drugimi. Kwiat lipowy należy do najmodniejszych. Modne także margerytki, pączki róży, liście bluszczowe i t. p. Jakby dla sprzeczności, widzimy też niektóre kapelusze przybrane jedną ogromną różą, podpiętą w tyle za djademem, ale tak, że ją i z przodu widzieć można.

Włosy pod tężniejsze kapelusze układają się w taki sposób, że wązko a długo pokrywają cały tył głowy. Wiążą się wysoko, i spadają w długich lokach, lub też tworzą długi kok, lekko zapleciony.

Z okrywek uważaliśmy bardzo ładne czarne kaszmirowe podbite jedwabiem, objęte koronką albo frendzłą. Są to *Tuniki Camargo*, przepasane szarfą bez końców. Rękawy zwykle u nich szerokie.

Zasługuje niemniej na uwagę, płaszczki kaszmirowy zwany *Meternich*. Z tyłu tworzy on jakby zao-kragloną chustkę. Z przodu spadają końce jak u mantyli. W skutek przepięcia formują się szerokie rękawy. Wszystko jednak krajane z jednej sztuki. Przez tył przechodzi pasek z wielką kokardą, przód spięty na guziki, w koło idzie frendzla albo koronka. Jest to rodzaj okrywek najmodniejszy w tym roku. Robią je z kaszmiru lub czarnego bareżu.

Na kolorowej spódnicy bareżowa taka okrywka bardzo ładny stanowi kostium.

Seweryna D.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

Na każdym zeszytciu paletota w około garniowanego, na przodzie na haftki zapiętego, robią się po 3 fałdki, oznaczone gwiazdką i dwukropkiem z takim odstępem, iżby ta przestrzeń wszędzie na 7 cent. była podzielona. Boczne fałdki przykrywa listewka 9 cent. a na środku tyłu 14 cent. długa, która zrobiona jest z pliski ukosem obiętej. U szyi jest rusza oblamowana ukosem. Pasek 4 cent. szeroki z gładkiej materji, objęty jest również ukosem.

N. 21 i 24. Żakieta ze stojącym kołnierzem.

Krój w zmniejszonych linjach w dodatku N. II fig. 8—10.

Luźna ta żakieta przykrywa się z sukna koloru „bordeaux“ krój ten łatwo może być na każdą figurę bez trudności zastosowany. Na rękaw dostateczna jest forma pod fig. 9. Wszycie rękawa oznacza gwiazdka. Po ukończeniu żakiety, podszywają się przednie części całej długości 6 cent. szerokim kawałkiem materji. Ubranie stanowi przystębnowany z „bordeaux“ materji pasek szeroki, na którym naszywają się stembnówką na pół cent. szerokie pliski atlasowe tegoż koloru, jedna nad drugą po jednej stronie w taki sposób, że wyglądają jak fałdki. Środkowy odstęp pomiędzy temi pliskami powinien być na 3 cent. szeroki, tak iż wyrób wełniany zaledwie jest widoczny. Wykrój szyi u żakiety razem z przodem,

objęty tak samo atlasową plisną. Do niego zrobiony stojący kołnierzyk z materji objęty plisną atlasową.

N. 23. Ubranie dla chłopczyka od 3 do 5 lat.

Zobacz także rycinę 15.

Łatwe to do wykończenia podług ryciny ubranie, które dowolnie czy to z aksamitu, sukna, lub letniego wełnianego materiału zrobić można, uzupełniając buciki ze sztylpami. Majtki pod kolana, na bokach naszyte są lampasem 1 cent. szerokim. Na bluzie z przodu zapiętej, naszywa się tymże samym lampasem jakby napierśnik.

Atlasowe guziczki zdobią bluzkę i majtki. Wązki pasek przepasuje bluzkę.

N. 26. Ubranie z podwójną spódnicą i półwyciętym paletocikiem, kostium Andaluzki.

Krój paletota, jak do ryciny 19 i 20.

Według kroju figury 15 — 17, jednakże tylko na 73 cen. długości w tyle, 63 z przodu, a 61 z boków, z zaszewką lub bez niej wedle upodobania, wykończy się paletocik do kostiumu na rycinie 26 przedstawionego. Załączony model jest z lekkiego wełnianego materiału, w prażki fijołkowe z białem, atlasem fijołkowym przybrany. W fałdy układana falbana ubiera spódnicę i paletocik. U spódnicy fałdy te z nagłówkiem wypuszczonym na 2 centym. szerokim, trzymają każda 16 centy: długości a $3\frac{1}{2}$ szerokości. Przerzynająca nagłówek i falbanę pliska 1 cent. szeroka, otacza przody paletocika, okala szyję, przykrywa wszycie rękawa i tu zakończy się frendzelką jedwabną karbowaną, fijołkową na 3 cent. szeroka. Pas fijołkowy, atlasowy 5 cent. szeroki, z obydwóch stron objęty plisną, nakrywa przyszyte frendzli, którą druga spódniczka jest obszyta. Tak paletocik jak wierzchnia spódniczka, z pod której dolna o 30 centy. występuje, są po obu bokach rozetami z plisek podpięte, które się urządzają na kółeczku z klejonki sztywnej, 4 cent. szerokim, materiału pokrytym, układając na nim pliski w rodzaju pętelek, w 3 rzędy; z pod rozet spadają dwa końce ukośno ścięte, frendzłą obszyte, 20 cent. długie, u dołu 11 u góry $7\frac{1}{2}$ cent. szerokie. Szarfa do paska z tyłu składa się z 4 po 4 cent. szerokości mających pukli i 3 w ząb ściętych końców, które razem z paskiem 4 cent. szerokim wązko atlasem są objęte. Boczne końce tego ubrania paska, mają 18 cent. długości, a środkowy 28. Szerokość każdego wynosi u dołu 7 u góry 6 centymetrów.

N. 27 i 28. Ubranie z luźnym paletotem z boku zapinanym: Kostium „Florentyna“

Krój paletota w zmniejszonych liniach, w dodatku N. XIII fig. 48 i 49.

Spódniczkę którą rycina 27 z czarnej, a rycina 28 ze srebrno-popielatej materji przedstawia, zdobią 7 falbanek z ukośnej materji, które powinny być $4\frac{1}{2}$ cent. szerokie, i na cienki sznureczek zmarszczone. Ostatnia górna falbana z nagłówkiem 1 cent. szerokim z obydwóch stron się obejmuje. Robiąc do tego ubrania, paletocik podług wzoru kroju, trzeba uważać aby lewa strona podchodząca podług fig. 48 za środkową linię, z wierzchnim brzegiem się kończyła. Do przepuszczenia paska 4 cent. szerokiego pod tył luźnego paletota, zestawiają się z boków otwory w szwach, jak wzór przedstawia, i ułożwszy z przodu paletocik, przyciska się paskiem, który przeciągnięty przez otwory z boku się zapina.

Dół paletota oszywa się tak samo jak spódnica, dwoma falbankami 6 cent. szerokimi. Do rękawów falbana winna być 4 cent. szeroka.

N. 29 — 31. Bluzka z chusteczkowym garnirunkiem..

Przy czarnej materji lub białym kaszmirze, garnirunek powinien być atlasowy cały, do muślinu mogą być tylko ząbki jedwabne. Garnirunek przedstawiony na rycinie 29 składają 4 cent. szerokie, a 2 i pół wysokie trójkątne zęby i dwa rzędkie podwójnej listewki, o 2 cent. od siebie odległe. Między temi dane jest naszyte podług N. 30 — 31 z podwójnie złożonych atlasowych 1 i pół cent. szerokich listewek lub wstążki ułożone. Przód bluzki na 3 cent. zachodzący i na haftki spinany, ozdabia z dwóch stron naszyta podwójna listewka, środkiem której idą atlasowe guziki. Wykrój szyi ubierają ząbki i podwójna listewka. Ząbkami, listewką i kokardą atlasową przybrany jest pasek 3 i pół cent. szeroki.

N. 32. Bluzka z przystembnowanemi listewkami.

Tak jak u poprzedniej, przy czarnej materji i białym kaszmirze, dają się listewki przystembnowane, 1 cent. szerokie w atlasie, do bluzek muślinowych zaś powinny być cienkie płócienne. Garnirunek ten jednakowy z przodu jak na plecach, musi być zupełnie w całości, nierozcięty na ramionach.

N. 33. Ubranie dziewczynki do pierwszej komunii.

Suknia biała muślinowa z zakładkami ozdobiona jest u dołu buffą. Stanik pod szyję wydaje się jak szmizetka w zakładki ze staniczkiem kwadratowo wyciętym i ubranym jak spódnica, bufkami. Muślinowy welon szeroko obrębiony, zakrywa twarz jak to objaśnia rycina.

N. 34. Wizytowe ubranie.

Dolną gładką spódnicę z szafirowej materji, przybranej atlasowemi pletniami, pokrywa wierzchnia podniesiona spódnica z szafirowej popeliny. Paletot czarny aksamitny z ząbkami i frendzłą. Kapeluszek czarny tiulowy podpięty różami.

N. 35. Paletot z kołnierzem.

Paletot z czarnego jedwabnego rypsu w dobrym gatunku, ma na wierzchu w całości przykrojoną pelerynkę, czyli kołnier ozdobiony rypsovemi i atlasowemi pliskami, i czarną jedwabną frendzłą 7 cent. szeroką. Rękaw ozdobiony jest podobnie listewkami, po bokach których widać atlasowe wykłady wypustką rypsovą oszyte. Przód zapinają guziki duże szmuklerskie i pętlice z jedwabnego sznura.

N. 36. Ubranie do pierwszej komunji.

Z magazynu panny Desrez w Paryżu na placu Halevy N. 2.

Biała suknia, uzupełniona białym welonem i czepeczkiem, składa się ze spódnicy do kostek, i bluzki pod szyję z materiału w gęste i przejrzyste pasy, wyglądające na zakładki. W równych odstępach wszycją się, haftowane wszzywki, pod któremi materiał wyciąć należy. Wszzywki te oznaczają na bluzce, krótki staniczek kwadratowy; rękawy mają garnirunek odpowiedni spódnicy. Pasek jedwabny z szarfą, obcisła figurę. Czepeczek siatkową formą, oszywa tiulowa rusza. Welon na twarz spadający, daje się bez obrębu, przykrojony z białego tarlatanu. Suknia taka i bez haftowanych wstawek ładnie bardzo wygląda.

N. 37. Ubranie wizytowe.

Gładka spódnica „robe ronde“ uzupełnia się paletotem jak rycina 35. Bluzkę pod szyję, ubiera garnirunek, odznaczający krótki staniczek z $1\frac{1}{2}$ centym. szerokich atlasowych i jedwabnych plisek,

układanych na przemian jedna koło drugiej. Przód zapina 3 cent. szeroka listewka z dziurkami, i atlasowe wypukłe guziki. Wykrój szyi, oszywa $1\frac{1}{2}$ cent. szeroki, stojący kołnierzyk z atlasową plisną. Rękaw ma garnirunek odpowiedni stanikowi wraz z listewką.

ROZMAITOŚCI.

Diamenty p. Gaudin. Przed kilku miesiącami dzienniki rozniosły po świecie wiadomość, którą amatorowie strojenia się w kosztowne kamienie, z nieopisaną powitalną radością, to jest, że znakomity chemik p. Gaudin, wynalazł nareszcie tak długo poszukiwany sposób wyrabiania sztucznych diamentów.

Przedwczesna to co najmniej uciecha; dotąd nikt jeszcze nie zdołał skryształizować węgla, a tem samem nie mógł otrzymać najmniejszego diamentu w jednej sztuce. P. Gaudin pracuje od lat trzydziestu nad sposobem otrzymania kosztownych kamieni, przez krystalizację w bardzo wysokiej temperaturze, i rzeczywiście udało mu się już dawniej otrzymać w ten sposób rubiny, granaty i parę jeszcze rodzajai, ale kamienie te były prawdziwie mikroskopicznych rozmiarów.

Wiadomo że granaty, ametysty, szmaragdy, beryle, akwamaryny, lapis-lazuli i tym podob. kamienie, są to krzemionki aluminowe lub związki krzemionki z tlenkami metalów ziem właściwych, otóż p. Gaudin wytwarza też same związki z rozmaitemi solami, tak jak musiały tworzyć się w naturze. Obecnie otrzymuje nie już nadzwyczaj małe kamyczki, ale dość duże kawałki kryształów, które można szlifować i pozyskiwać tym sposobem piękne bardzo sztuczne kamienie.

Kryształy białe, naśladujące diament, mają cudnie piękny blask i ogień, i chyba tylko nadzwyczaj wprawne oko biegłego znawcy, zdoła odróżnić je od prawdziwych. Oszlifowane i oprawne, kamienie te mają prześliczny ogień mieniący się barwami tęczy, a otrzymywane w ten sposób akwamaryny, najwyborniej naśladują kosztowne szmaragdy, a nawet przy świetle, żywszym od prawdziwych połyskują ogniem. Obecnie p. Gaudin potrafił już nadać swym kamieniom twardość kryształu kopalnego; rysują stal.

Odkrycie to ma wielką wartość przemysłową, gdyż najniezawodniej jubilerowie nie omieszkają korzystać z niego, i tym sposobem ułatwić wszystkim możliwość strojenia się tanim kosztem w kosztowne kamienie.

Korespondencja.

P. J. K. S. — Wierszyk: Szczęśliwy pomieścimy w Przyjacielu Dzieci, dwa zaś inne: Marzenia i rzeczywistość i Tęsknota, wymagają głębszego wniesienia w myśl obraną za przedmiot do poetycznego jej przedstawienia, żeby mogły być wydrukowane w Tygodniku Młod. Co do innych artykułów, takowe Redakcja chętnie przyjmuje, aby tylko zalecały się tak treścią, jak obrobiem. Powieść: Kasztelanka oddana została pod rozstrzygnięcie konkursowe.

Pani Marji Jan: Od kupna nót pozostał rs. 1 kop. 90.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.